

RECENZJE

Aleksandra Kosakowska

Model wielomęstwa na topie?

Pole naszej refleksyjności ma zazwyczaj ograniczony charakter. Zastanawiamy się nad sprawami dla nas istotnymi lub tymi, które budzą w nas silniejsze emocje, np. poprzez swój dziwny, czy bulwersujący charakter. Istnieją jednak takie sfery w obrębie otaczającej nas kultury, które wydają się na tyle oczywiste, że nie poświęcamy naszej uwagi ich rozpatrywaniu, za naturalny uznając dany stan rzeczy. Do takich kwestii bez wahania zaliczyć można monogamiczność małżeństw.

W ostatnim czasie rozpoczęła się w Polsce wątpa debata na temat możliwości zalegalizowania związków partnerskich, w tym związków homoseksualnych. Pomijając brak jakichkolwiek efektów teże dyskusji, trzeba przyznać, że jest to pewien sygnał oznajmiający poszerzenie się świadomości społecznej (a może raczej świadomości części społeczeństwa) w zakresie możliwości tworzenia relacji intymno-seksualnych. Te powolne przemiany nie obejmują jednak swoim działaniem problematyki związków pluralnych, która pozostaje nadal w sferze nieprzekraczalnego tabu.

Nie odnosi się ono jedynie do kwestii rozważań tego tematu w kręgu opinii publicznej (nie wspominając oczywiście o praktyce w obrębie społeczeństwa) - lecz obejmuje także krąg nauki. Potwierdzeniem niech będzie fakt, że dotychczas nie ukazała się na polskim rynku jakakolwiek publikacja skupiona na tej właśnie problematyce, a z własnego doświadczenia mogę dodać, że w ciągu pięciu lat studiów antropologii kulturowej na UAM w Poznaniu, uznawany za czołowy ośrodek antropologiczny w Polsce, o małżeństwach pluralnych dowiedziałem się jedynie tyle, że są i jak nazywają się ich poszczególne typy.

Dramatyczną sytuację w tym zakresie postanowili zmienić autorzy wydanej pod koniec zeszłego roku książki: "Gdy kobieta ma kilku mężów. Rzecz o poliandrii." Daniel Jabłoński i Lech Ostasz są pracownikami naukowymi UWM

w Olsztynie. Helena Kurtz to niezależna podróżniczka i pisarka. Na łamach swojej 158-stronicowej książki naświetlają oni z wielu perspektyw poliandrię - typ małżeństwa, w którym kobieta posiada więcej niż jednego męża.

Na temat poliginii (czyli układu, w którym mężczyzna ma więcej niż jedną żonę) my, Europejczycy, posiadamy jako takie (zazwyczaj niezbyt pozytywne) wyobrażenie dzięki relacjom ze światem muzułmańskim. Poliandria jest typem związku, którego istnienia większość z nas - przepojonych myślowymi nawykami kultury patriarchalnej - nawet nie podejrzewa. Książka ukazująca szczegółowe dane i sekretne niuanse dotyczące tej formy relacji, swoją nieocenioną wartość zyskuje zatem już przez sam fakt dostarczenia czytelnikom tej, tak deficytowej na polskim rynku, wiedzy. Nie tylko to stanowi jednak o jej walorach.

Praca ta składa się z dwóch części, z których pierwsza przedstawia - najogólniej rzecz biorąc - ciekawostki, które autorzy określili jako "migawki z życia codziennego". Znajdziemy tu odpowiedzi na większość intrygujących pytań, które przychodzą do głowy każdemu, kto żyjąc w kulturze wyłącznie monogamicznej, nagle dowiaduje się o istnieniu związków złożonych z jednej kobiety i kilku mężczyzn. W krótkich, najwyżej parostronicowych rozdziałach, opisane są tu zatem zagadnienia takie, jak np. relacje intymne pomiędzy żoną a jej mężami, ilość partnerów, ustalanie ojcostwa i dzielenie się nim, kwestia rozwodów, problem zazdrości i zdrad, sposób zawierania małżeństwa itp. Same tytuły to często powiedzenia czy określenia wywodzące się z opisywanych kultur, które w sposób hasłowy ujmują treści rozdziałów, jak też wyrażają pewne przesłania: "Chcesz mieć pozycję równą mężom, zaprosz ich do swojego domu"; "Dhjan-ti - wolna niczym ptak"; "Boże, daj mi kilku mężów". Momenta-

DOKONCZENIE - STR. 2

RECENZJE

Anna Rau

Dlaczego niektórzy nie umieją korzystać z pobytu w Holandii?!!!

Ach, Jowiszu, ileż to ekscytujących rzeczy można by wycyzniać w Amsterdamie! - od prozaicznie turystycznych, przez grzecznie kawiarniane, po szalenie nieodpowiedzialne! Amsterdam to przecież jedno z niewielu magicznych miejsc świata, które może zadowolić każdego mieszkańca kuli ziemskiej - tak zmęczonych życiem zblazowanych odpoczywaczy, jak i szukających specyficznych przygód globtroterów. W Amsterdamie, ach w Amsterdamie - ta fraza śpiewa jak operetki - zaczne PRAWDZIWE życie... Może zakotwiczyć na dłuższej na Poezenboot, czyli w łodzi dla bezdomnych kotów na kanale Singel. Prawdopodobnie będę godzinami błądzić po czternastu nadkanałowych mostach stolicy. I niewątpliwie każdego wieczora zasiedzę się w innym proeflokal, czyli "Pomieszczeniu do Degustacji" (hoho, tradycja sięgająca Złotego Wieku!), lub nawet nałogowo poodurzam się w którejś z niezliczonych "kawiarni-palarni" (legalnym zagłębiu haszyszowym)... Wyjadę w końcu... - ale kiedyś wrócę... - wiosną, żeby trafić na bajkowy moment, kiedy w ciągu jednej nocy - rokrocznie - zakwitają w całym mieście żonkile i krokusy - (zachęcam wszystkich "romantycznych"). I powrócę latem, gdyż skusi mnie Festiwal Holandii (przynęcam "regionalistów" i "kolekcjonerów"). A jesienią zobaczę mnie na Europejskich Targach Antykwarycznych Książki i Grafiki (zapraszam "zamożnych" i "marzycieli"). I jeszcze nawet zimą znów przyjadę pokibicować podczas niekończących się imprez sportowych (których formą jest też nocny clubbing nieustający - tu wołam do "aktywnych" oraz "aktywnych inaczej"). A do tego holenderski odpowiednik świętego Mikołaja schodzi na ląd (z okrętu) już w listopadzie!... Jak mogłabym nie wracać wciąż, w

obsesji, nieskończenie!... A słynna Dzielnica Czerwonych Latarni? A podobne alkoholicznym ciągi Muzeów, niewiarygodnej piękności gąsienice-dzielnice kamieniczek i kościołów, ciekawostki typu bazar kwiatowy na wodzie, sporty w portach, wiatraki-cudaki, przedmieścia bez cyklistówek i idylliczne okolice podmiejskie? Sny urzeczywistnione jako pobliskie a rozległe pola tulipanowe, ogrody i lesiste parki. Hotel de Filosoof z pokojami przeznaczonymi do wyznaczonych z góry wizji i przemyśleń. Zajem się na śmierć wręcz pokazową kuchnią indonezyjską (pozostałość z czasów kolonialnych) lub zachowam pełnię zdrowia, pokrzepiając tradycyjnymi posiłkami regionalnymi (liczne gatunki chleba, sera i wędlin plus marynaty i warzywa). Wpadnę w zakupoholizm dzięki wszechświatom sklepów (pocieszająca wieść - wszystkie otwarte o kilka godzin dłużej niż w Polsce). Ma radość w Amsterdamie będzie niczym w niebie - bez końca...

Tych wszystkich możliwości nie docenił i nie zrealizował ani jeden z bohaterów debiutu literackiego A. E. Kamienieckiej pod obiecującym tytułem "Dziewczyna z Buenos", mimo iż było to towarzystwo płciowo mieszane, narodowościowo - w większości Polacy z przysłowiową fantazją "na wyjeździe", w części - z problemami psychicznymi, zaś wszyscy - z trudnościami osobowościowymi. Po prostu okazali się gośćmi bez wyobraźni! A przecież z takiej mieszkanki neurotycznych osobowości z bonusem obcego kontekstu kulturowego powinno być dojdź do nie-liczej historii! I zaczęło się nawet interesująco - w szpitalu psychiatrycznym... Lecz, o żalu!, podczas lektury z kartki na kartkę coraz głębszym stawało się moje rozczarowanie, skoro i wszystko coraz bardziej (z pewnością, aby dosadnie nawiązać do słynnych

Model wielomęstwa na topie?

DOKOŃCZENIE ZE STR. 1

mi problematyka odbiega nieco od zagadnienia samej poliandrii, dotykając np. kwestii powiązań pomiędzy pozycją kobiety w kulturze a podejściem do ekologii - rozdział "Kobieta i las". Rozważania na temat miejsca kobiety w społeczeństwie i jej wolności decydowania o sobie towarzyszą zresztą całości rozważań, włączając tym samym książkę w obręb dyskursu feministycznego.

Praca ma charakter popularno-naukowy, chociaż bowiem zawiera szereg danych naukowych, autorzy podają je w bardzo przystępnej formie i unikają teoretyzowania na ich temat. Podstawą prezentacji są obszerne cytaty z relacji antropologicznych lub podróźniczych skupione na opisie konkretnych rozwiązań czy przykładów z życia poszczególnych społeczności. Dołączone do nich kilkudzaniowe komentarze autorskie tłumaczą znaczenia przedstawionych zwyczajów i podejmują refleksję nad ich funkcjonowaniem, zachęcając w ten sposób odbiorcę do zgłębienia poszczególnych kwestii. Dzięki temu zabiegowi praca nabiera charakteru pikantnej opowieści i nie zanudza abstrakcyjnymi uogólnieniami.

Tymostatnim autorzy poświęcili jedynie ostatnich 20 stron książki, stanowiących jej drugą część. Ma ona charakter uschematyzowania i syntezy danych przedstawionych w części pierwszej, a dodatkowo zawiera teoretyczną refleksję nad powiązaniem poliandrii z szerszym kontekstem kulturowym - uwarunkowaniami jej istnienia oraz wpływie tej formy związku na funkcjonowanie społeczeństwa i poszczególnych jednostek. Książkę uzupełniają słowniczek pojęć antropologicznych, pozwalający oswoić się ze specyficzną terminologią nieuchronnie towarzyszącą prezentacji danych na temat życia innych kultur. Praca wyposażona jest także w mapkę przedstawiającą rozmieszczenie kultur, w których praktykowano lub praktykuje się nadal omawianą formę małżeństwa. Rzut oka na to pomocne narzędzie pozwala uświadomić sobie, że zjawisko ma swoje rozmiary i każe zastanowić się, czy nie żyjemy przypadkiem w obrębie jakiegoś kordonu, chroniącego nas przed informacjami na temat jego istnienia.

Autorzy książki należą z pewnością do tych, którzy próbują ten kordon przelamać. Czytelnik nie ma wątpliwości, że ich celem nie jest jedynie dostarczenie informacji na temat poliandrii, lecz także podjęcie dyskusji nad możliwością zaadaptowania tej formy małżeństwa w naszej kulturze. W ramach tej dyskusji autorzy wyrażają swój głos jednoznacznie, w zakończeniu pracy stwierdzając: "W wolnym społeczeństwie kobieta powinna mieć wybierać, a jej możliwość wybierania powinna być zagwarantowana społecznie i politycznie (jak również religijnie). Jeśli można by coś zalecić społeczeństwu w sferze małżeńskiej i rodzinnej, byłoby to dopuszczenie poliandrii (...) jako jednej z form małżeństwa obok innych (...) Wymaga [to] od społeczeństwa dużej elastyczności, znacznej tolerancji, skłonności do pokojowości. Są to cechy mądrych społeczeństw" (s. 158).

Tak jawnie propagatorskie podejście (wyrażone nie tylko w zakończeniu, lecz dające o sobie znać w wielu miejscach pracy) ma oczywiście swoje wady i zalety - zdeklarowanym po tej samej stronie co autorzy cytelnikom pozwala znaleźć oparcie w milej świadomości, że nie są osamotnieni w swoich poglądach. Poszukujących dopiero własnego zdania ten sam autorski entuzjazm może jednak zniechęcać. Momentami sprawia on bowiem wrażenie usilnego przekonywania, w ramach którego obiektywne dane, będące podstawą przekazu, tracą na neutralności.

Czy neutralność w tym przypadku byłaby jednak wskazana? Jeśli społeczeństwo, w którym żyjemy od tysiącleci wprawia nam w sposób jak najmniej neutralny, że monogamia jest jedyną dopuszczalną i normalną formą życia małżeńskiego (związkowego), to można podejrzewać, że neutralne ukazanie, że można inaczej zginęłoby w szumie informacji lub wrzasku potępienia. Jak będzie w tym przypadku - zobaczmy. Osobiście mam nadzieję, że podjęta przez autorów odważna zachęta do dyskusji na tak istotny temat, nie pozostanie bez odcisku i niniejszym polecam książkę wszystkim otwartym na poznawanie (i ewentualne praktykowanie;) różnorodności kulturowych przejawów życia.

Aleksandra Kosakowska

Daniel Jabłoński, Helena Kurtz, Lech Ostasz, Gdy kobieta ma kilku mężów. Rzecz o poliandrii, Wyd. Adiphora, Olsztyn 2005.

amsterdamskich kanałów) nieustannie się rozkłada - dialogi bohaterów, osobowość tytułowej dziewczyny z Buenos, czyli Glorii z Amsterdamu, opisy scen rodzajowych i przeżyć wewnętrznych, nogi kolejnych kobiet w kontakcie z kolejnymi mężczyznami...

Ambitni niewątpliwie potraktują powieść Kamienieckiej jako wielką metaforę przekłamania stereotypu holenderskiej wolności i nieskrępowania. Jako dowód, iż prawdą takiego zatracenia w beczasie-bez-zasad jest pustka doznań, zanik uczuć, życiowa strategia ucieczki, końcowy chaos i wieczysta niemożność dotknięcia choć progu dojrzałości. I rzeczywiście, obraz takiej filozofii z pewnością stanowi wspomniana wyżej Gloria, wbrew swemu imieniu wcale nie chwalebna, która żyje w Buenos istniejącym li tylko w jej głowie lub na mapie - postaci nie do zniesienia, jak i cała reszta jej literackich towarzyszy. Jak cała jej ojczyzna - świat przedstawiony debiutu Kamienieckiej. Ktoś pokusił się na wspaniałe porównanie, iż młoda pisarka posłużyła się stylistyką bloga - podpisuje się pod tym odkryciem obiema rękami z uzasadnieniem,

że książka jest tak samo trudna w odbiorze, a i pobudzająca - jedynie piszącego... Czyż nie lepiej było ową bandę snujących się jak zombi niespełnionych postaci osadzić w dobrze znanych realiach polskich?! Wtedy mogliby równie intrygująco pielęgnować swe traumy, zmieniać łóżka i partnerów, bić się, sprzątać i odczuwać dojmujące osamotnienie gdzieś w nowosądeckim albo na Mazurach, lub nawet w stolicy... - i wtedy, być może, wiałoby z kart książki bardziej odczuwalnym autentyzmem. A tak została utrwalona kolejna historia (i stereotyp) o zagubieniu wewnętrznym Polaków na dobrowolnej emigracji, o nieprzystosowaniu młodych do drapieżnego świata, o żeńskim niedopiecznieniu i męskiej niemęskości - czyli o ogólnym upadku świata początku XXI wieku. Cyraneczka nie ptak, Amsterdam nie Buenos, powieść Kamienieckiej nie...

Anna Rau

Anna E. Kamiecka, Dziewczyna z Buenos, Wyd. Czarne, Wołowiec 2005.

RECENZJE

Żółte okno z widokiem na Belgrad

Anna Rau

Elementarze są dla nas tym, czym religia dla Hindusa - to prawdziwy politeizm w naszym życiu! Ów kościć świadomości, osobisty Bóg Elementarny, ma mnóstwo emanacji i każda z dziedzin bytu bazuje na stosownej wersji Praelementarza. Nasze Elementarze... - tyle ich w sobie zawieramy!

Niekończące się kazania i przemówienia rodziców wryły na wewnętrznej tablicy podświadomości Elementarz Kultury Życia Codziennego: "D - jak dzień dobry mów każdemu z sąsiadów", "N - jak noś szalik na mrozie", "S - jak szanuj starszych"...

Uniesiony ostrzegawczo palec katechetki/księdza wypalił (albo skutecznie rozmazał) Elementarz Religijny: "A - jak Adam - pierwszy człowiek stworzony przez Pana Boga"; "G - jak grzech: świadome i dobrowolne przekroczenie przykazań Bożych lub kościelnych"; "Z - jak zwiastowanie Pannie Maryi"...

Elementarz NN (zamiast NN należy wstawić konkretne imię i nazwisko), który tworzymy sobie sami, patrząc, słuchając i doświadczając - a jego zagubienie zwie się po prostu chorobą Alzheimera i bywa chyba jednym z największych nieszczęść, jakie mogą dotknąć homo sapiens. To największa i najbardziej nietrwiała rzecz, jaką "posiadamy", nigdy niedokończona, nigdy nie opublikowana, zawsze niedoskonała, zawsze niedoceniona...

Dobrze jest też poukladać sobie w głowie, a później nawet na papierze, swój Elementarz Hierarchii Życia Dorosłego. I bezustannie zaglądając utrwałać - żeby nie zapomnieć, jak wartościować, myśleć, czuć, kochać, wierzyć, żyć...

Elementarze niemal zawsze stanowią sprawy jednostkowe i bardzo osobiste - chyba że jest się "Kimś"... Aura VIP-ów, czyli ludzi wybitnych i cenionych (niekiedy tylko znanych), promienie-

je z nich w takim stopniu, że ich osobnicze księgi elementarne automatycznie stają się własnością ogółu, czyli podręcznikami dla całych zbiorowości. W katalogu zbiorów polskiej Biblioteki Narodowej m.in. można odnaleźć takie tytuły, jak: "Elementarz Antoniego Kępińskiego dla zdrowia i chorego", "Elementarz Haliny Poświatowskiej dla szczęśliwych i nieszczęśliwych kochanków"; "Elementarz Jana Pawła II dla wierzącego, wątpiącego i szukającego"; "Elementarz księdza Twardowskiego dla najmłodszego, średniaka i starszego"; "Elementarz św. Franciszka, dla wszystkich, którzy mieszkają na całym świecie"... Bywają też elementarze bezautorskie, a kierowane dla konkretnych grup: "Elementarz młodego dandy", "Elementarz dla snobów", "Elementarz człowieka sukcesu", "Elementarz pesymisty"... Zglądamy do różnych światów: bardzo nam bliskich albo zupełnie nieznanymi, a pożądanymi, obiecanych, wymaganych... Aby którykolwiek - i w ogóle cokolwiek - przeczytać, musimy znów sięgnąć do pramatki naszych umiejętności szkolnych, do książki o tytule "Elementarz Falskiego" albo "Literary", dzięki której jako nieporadne pierwszaki supłaliśmy z mozołem te najprostsze-najtrudniejsze znaki.

Elementarz jak okno, dzięki któremu w przyszłości zajrzy się do Świata Dorosłych - Literatury. Taki dziecięcy podręcznik na Węgrzech nazywa się "Okno-Żyrafa" - od pierwszego wyrazu na "a", czyli węgierskiego "okna", aż do "zyrafa". Biorąc do ręki

"Ostatnią Oknożyrafę" Petera Zilahyego, czuję się jak Salvador Dali... Żyrafa - żółte zwierzę - i nieudana rewolucja belgradzka zwana żółtą. Czy właśnie ten kolor zobaczę z grzbietu pływającego czworonoga, okielznanego literacko przez Zilahyego? Czy na takiej hybrydzie w ogóle można nauczyć się dobrze odczytywać znaki?... Polekturze stwierdziłam, iż ów pisarz stworzył książkę elementarną - solidną, ale w pełni wartościową jedynie dla kolekcjonerów czy też koneserów wiedzy post-jugosłowiańskiej. Niestety, nie zainteresowały mnie owe traumy bałkańskie w tej formie - czytałam już podobne opisy w publikacjach dotyczących tak międzynarodowych, jak i polskich, protestów politycznych. Strona graficzna tej pozycji również mnie nie zachwycała: zdjęcia są czarno-białe i raczej monotematyczne (li i jedynie rejestracja manifestacji w Belgradzie, a ilustracje-rysunki dość paskudne (najczęściej to karykatury, plakaty lub przedruki z "Okno-Żyrafy").

Jednakże, siląc się na obiektywizm, muszę przyznać: jako ewentualna miłośniczka, co mówię - pasjonatka - spraw bałkańskich, byłabym "Oknożyrafą" zachwycona! Zilahy powołał do życia dziwadłko, przytulankę literacką, zwierzaka, który nie istnieje - coś z pogranicza gatunków. Garść historii, językoznawstwa i dziejów języka w jednym. Świeży powiew. Przejmujące mini-relacje z wydarzeń belgradzkich. Splot reportażu, pamiętnika i szkiców - wątków postaci bliskich Zilahyemu, choć "przypadkowych"

- gdzieś-widzianych, gdzieś-spotkanych... Bardzo to nowoczesne i właściwe szczególnie "młodym", szybkim i konkretnym (tradycjonalistów może denerwować tak poszarpana forma i wiedza).

Zadziwiło mnie coś innego - i ów fakt również jako świadczy o książce. Wykreowana przez Zilahyego promocja "Oknożyrafy" - wyglądała niczym gigantyczny konglomerat intrygujących zapowiedzi w internecie, audycji radiowych, objazdowych wystąpień samego pisarza, sygnowanych przez niego widowisk interaktywnych, imponującej liczby przekładów powieści - aż w jedenastu językach. Właśnie ów "marketing kulturalny" zaiste wręcz powinien imponować! Po co tyle starań? Zilahy w licznych wywiadach podkreśla, że taka kampania godna jest wagi, a i międzynarodowej nieświadomości tematu. Postmodernistyczny charakter promocji utrwala w świecie wiedzę, na JAKIM to elementarzu musiały "uczyć się" kolejne pokolenia Serbów i - co z tego wynika - jakie postrzeganie obywatelstwa wszczępili w nich dyktatura Milosevica. Że dopiero protest dorosłych traktowanych jak dzieci przeciw temu elementarzowi prowadził ku prawdziwej nauce - w świadomą i pełną dojrzałość społeczną.

Znawcy twierdzą, iż "Okno-Żyrafa" według Zilahyego mogłaby stanowić poradnik dla demonstrantów - przypuszczam, iż także dla internowanych, prześladowanych przez władzę (w różnej formie), fotografów, reportażystów... Niestety w moim

osobistym Elementarzu Wiedzy o Rewolucjach nie wprowadził żadnych nowych haseł. Pobudził za to ciche przemyslenia nad gradacją tych współczesnych wydarzeń politycznych, kształtujących kręgosłup (a raczej jego brak) w polskości XXI wieku - lecz były to przemyslenia bardzo ciche, z racji gatunku Tematów Nie-zgodliwych i Nie-bezpiecznych... Wracając do wątku głównego - nie przykleiłam nawet Zilahyemu naklejki "wizjoner" - bo skąd ten jego optymizm podsumowujący wydarzenia 1996-1997 jako rzeczywiście ostatnią "Oknożyrafę" narodu serbskiego? Skąd pewność, iż nawet w jego życiu osobistym nie nastąpi brutalne objawienie się kolejnego elementarza? A co gorsza, przecież i on, i my - tak naprawdę wiemy, że jednak NA PEWNO to nie jest podręcznik ostatni - kolejne elementarze rodzą się codziennie: czytamy o nich na łamach gazet, słyszymy w telewizji, tworzymy dla siebie i innych tu i teraz.

Anna Rau
Peter Zilahy, Ostatnia oknożyrafa, przeł. Justyna Goszczyńska, Wyd. Czarne, Wołowiec 2005.

FILM

Sebastian Żurowski

Napisz se recenzję!

(Ludzie, których znam, reż. Daniel Algrant)

Jest bardzo możliwe, że niedysyjsza wielka trójka amerykańskiego aktorstwa Robert De Niro - Al Pacino - Dustin Hoffman najlepsze lata i role ma za sobą. Często bardzo trudno jest jednoznacznie ocenić ostatnie filmy z ich udziałem. Zwłaszcza Roberta De Niro, który gra spośród nich najczęściej. Takim niełatwym do oceny jest także film Daniela Algranta "Ludzie, których znam" ("People I Know", 2001).

Jedno jest pewne - Al Pacino, bo to akurat on wystąpił w tym

filmie, gra w nim koncertowo. Zmęczony życiem i miotający się w świecie nowojorskich VIP-ów agent prasowy Eli Wurman to postać, która jest zagraniam genialnie. Jednak reszta filmu zdecydowanie odstaje od tego bardzo wysokiego poziomu. Reżyser chciał zbyt wiele zmieścić w skromnych 90 minutach. Film jest zbyt teatralny (akcja toczy się w czasie doby), a przedstawione w nim wydarzenia aż się proszą o rozbudowanie i po prostu wyjaśnienie ich tła. Oczywiście nie jest tak, że film jest niezrozumiały czy

bełkotliwy. Ma się jednak nieodparte wrażenie, że zbyt wiele dzieje się w trakcie tej doby: Wurman stara się zorganizować charytatywne przyjęcie, romanseje z wdową po swoim bracie, wplątuje się w aferę obyczajową, jest świadkiem morderstwa, wpada w uzależnienie, a nawet odbywa coś w rodzaju terapii. To zbyt wiele naraz. Każdy z tych wątków jest trochę niepełny i w konsekwencji całość wydaje się niespójna. Przydałoby się choćby częściowe zerwanie jednościanu czasu np. poprzez wprowadzenie jakichś sekwencji retrospektywnych.

Film Algranta w zasadzie opowiada całkowicie fikcyjną historię, ale autor starał się stworzyć w nim model, który oddawałby zepsucie elit politycznych, finansowych i duchowych.

Ludzie, których zna Wurman, to figury osób, których odpowiedników możemy wskazać nawet w polskiej rzeczywistości. Znany murzyński wielebny i bogaty żydowski finansista jak dzieci licytują się, który z nich ma pierwszy przemawiać na przyjęciu i kto ma ich obu zapowiadać. To dzieje się w kuchni, ale na sali bankietowej ludzie widzą już ich "przyjaźń". Obraz życia publicznego, który widzimy w mediach, to kłamstwo. Kłamstwo codziennie serwują nam tzw. specjaliści od wizerunku, rzeczniczy prasowi, "pijarowcy", dziennikarze i podobne indywidua. Co ciekawe, film przeleżał na półkach 2 lata, gdyż niekorzystnie pokazano w nim m.in. władze Nowego Jorku. A takie aluzje, w czasie gdy Giuliani "bohatersko" chronił nowojorczyków przed walącymi

się wieżowcami, były po prostu nie na miejscu i zapewne jacyś - nomen omen - specjaliści od PR zdecydowali o profilaktycznym odwleczeniu premiery filmu. Ostatecznie film wszedł na amerykańskie ekrany w zaledwie 5 kopiach i siłą rzeczy nie mógł stać się nawet minimalnym sukcesem komercyjnym. Zresztą nie miał szans na ten sukces, nawet gdyby kopii tych było 2 tysiące.

Konsekwencją teatralności jest to, że ognisko akcji zawsze podąża za głównym bohaterem. Niestety, bodaj tylko w jednym punkcie to rozwiązanie daje ciekawy efekt. Wurman jest świadkiem morderstwa w hotelowym pokoju, ale rano zupełnie nie pamięta tego, co się wydarzyło. Potem przez cały dzień wędruje po mieście i wszędzie dowiaduje się, że szuka go policja. Mówi mu o tym sekretarz w biurze, znajomy lekarz itp. Oczywiście bohater lekceważy to, bo niczego nie pamięta i nie widzi powodów, żeby iść na policję. Nie ma tu żadnych efektownych pościgów, psów tropiących, oddziałów specjalnych czy helikopterów, choć przecież można domyślać się, że policja na pewno intensywnie szuka osoby, która prawdopodobnie zamordowała znaną aktoreczkę. W zamian jest dziwne intrygująca mieszanina poczucia osaczenia i nieświadomości.

Owi tytułowi "ludzie, którzy się zna" to ci wszyscy, którzy wydają się twoimi przyjaciółmi, ale bez mrugnienia okiem odwracają się, gdy stajesz się dla nich z jakichś powodów balastem. Łatwo jest w człowieku wywołać przekonanie, że jest kimś ważnym

i niezastąpionym. Jeszcze łatwiej jest potem wykorzystywać go i odejść, gdy okoliczności tego wymagają. Ostatnim takim klientem i "przyjacielem" Wurmana jest znany aktor (właściwie gwiazdor), zdobywca Oscara, który rozpoczyna karierę polityczną (w tej roli Ryan O'Neal). Agent, który zna wszystkie ciemne sprawy i przez lata chronił wizerunek "gwiazdy", staje się takim właśnie balastem dla szanowanego polityka in spe. Na szczęście Algrant pokazuje też, że każdy "przyjaciel" ma swoich "ludzi, którzy go znają".

Większość wspomnianych słabości filmu Daniela Algranta wynika zapewne z tego, że to zaledwie drugi fabularny film pełnometrażowy tego reżysera. Oprócz nich ma on w dorobku jeszcze kilka dokumentów i krótkometrażówek oraz odcinek serialu "Seks w wielkim mieście". Także scenarzysta - Jon Baitz - nie ma wielkiego doświadczenia w filmowym biznesie. Oczywiście to tylko hipoteza, ale możliwe, że pracowali oni nad tym materiałem tak długo, że stracili do niego dystans i trochę zapomnieli o tym, żeby historię opowiedzieć bardziej czytelnie. Reżyser za bardzo skupił się na budowaniu nastroju i chyba nie był w stanie podciągnąć wszystkich elementów filmu do poziomu, który wyznaczył odtwórca głównej roli.

Sebastian Żurowski

mach - "oszczędną ekonomię zapasami", lokuje jego refleksje w strategiach obronnych, zbudowanych na owej idei fundamentalnego pęknięcia oraz paradygmacie akumulacji. A więc jednak diagnoza - system alarmowy kultury, jej wewnętrzna taktyka i praktyka własnego, ciągłego samopotwierdzenia. Każdy system kulturowy do pewnego stopnia panuje nad własną śmiercią, poprzez wbudowane w kod i rozpisane na wszystkie swoje elementy gry dialektyczne. Dialektyka jest miarą świeżości kodu i "nieskończoności" systemu. Jak widać epoka wyprowadzona z błędu klasycznej dialektyki (Baudrillard) nauczyła nas pewnej formy okrucieństwa i samookrucieństwa. Każdy filozof na sądzie nieostatecznym współczesności musi zdać sprawę z kategorii, których używał, świadomie lub bezwiednie. Po śmierci rozciągłości (sceny, panoramy, perspektywy) nasza przenikliwość (raczej w sensie przenikalności wszelkiego materiału) dopada diagnozę w jej zakorzenieniu, definicji i funkcji, bezruchu i ruchu, na poziomie idei i pozytywistycznej pracy dla systemu. W jej prawdzie i pozorze. Diagnoza byłaby taktyczno-dialektycznym odpowiednikiem całości, której jest formalną częścią, rytuałem nienaruszalności, jej intelektualnym zaklinaniem i restytucją. To w tym najgłębszym i ogólnym sensie Finkielkrauta możemy zaliczyć do konserwatystów. W jego ujęciu postkultura w resentymentem diagnozy ucieka przed swym całkiem innym, bardziej pozytywnym określeniem.

Warto byłoby prześledzić inne pozycje z listy reakcji ucieczkowych myśliciela, reakcji, które zdarzają się o wiele odporniej, wydawałoby się, umysłom. Nostalgiczne odruchy charakteryzują przecież pisarza tak ironicznego jak Sloterdijk. Mieszanaka tych elementów daje co prawda w jego przypadku efekt końcowy w postaci wyrafinowanej formy rozgoryczenia w stylu powszechnego wszechroczarowania epoki, emanującego urokiem oświecenia bezyściowości, tym niemniej tracimy najprawdopodobniej w Sloterdjiku jakiegoś filozoficznego odpowiednika Paula de Mana. Jego talent do konsekwentnie, filozoficznie bardzo nowoczesnie rozpisane metodologicznego cynizmu wydaje się być na naszych oczach marnowany. Dzisiejszy usługowy charakter filozofii zapędzonej przez współczesność do roli mniej lub bardziej finezyjnego termino-

logicznie komentarza tego, co zastane, czyni z niej i jej przedstawicieli część odbywającego się talk show. Być może nic na to nie można poradzić. Rozum podzielił los wszystkich powolnych technologii, zastąpionych przez szybsze technologie społeczne i technikę. Wszystko wskazuje też na to, że ironia rozrywkowego trybu naszej kultury, będącego częścią antropologicznego, kopernikańskiego przewrotu nowoczesności, unieważnia dawne, "heroiczne", patetyczne odmiany sarkazmu. Sloterdijk najpewniej czuje, co w trawie piszczy, spuszczając z tonu, wycofując się od czasu do czasu ze swego inteligentnego cynizmu na teren zużytych, patetycznych kategorii (kiedyś zapewniły rząd dusz; czyżby tutaj był pochowany pies nostalgii filozofa?). Do tego, niestety, także podejrzanych ideologicznie. Pragnie chyba zaskoczyć i zainteresować ludzkość, która wybrała duchową, intelektualną, egzystencjalną i społeczną banalność, jakąś jej niegdysiejszą kondycją, potrafiącą się zresztą przebrać w dobrze znane, polityczno-historyczne uniformy. Nostalgia pasożytuje zawsze na niepamięci lub do niej prowadzi. Banalizacja wszystkiego oczywiście również. To stąd płynnie potrzeba przemysłanego, inteligentnego cynizmu filozofii, przywracającego naszym sentymentalizmom podszytym szlachetnością ich prawdziwe, obsecne konteksty. Jedynie one będą w stanie demaskować pokrewieństwo współczesnego banalizmu i dramatyzmu poprzednich, patetycznych systemów jako koncepcji i strategii socjologicznych, a także projektów antropologicznych.

Dwie formuły Sloterdjika, z pozoru niewinne, i z pozoru cyniczne (ach, to jego niezdecydowanie), otwierają drogę do myślowego "zwrotu wstecz", jak również umożliwiają przechwytywanie ich zawartości przez przeżywające śmierć kliniczną dyskursy: historyczny, ideologiczny, polityczny, a także kulturowy. W końcu nie jest żadną nowością romans filozofii z władzą, rzadko udawało się jej uciec przed instytucjonalnym namaszczeniem. Przy czym wola i deklaracje filozofa nie mają tu nic do rzeczy, gdy o swoją "własność społeczną" upomina się jakiś system. Specyfiką dnia dzisiejszego byłaby swoista nadgorliwość filozofii, próbującej reanimować umarłą władzę, bez której system społeczny zapada się w sobie. Bauman ukuł nowy termin zastępujący pojęcie władzy - Moc, pozwalający

SZKICE

Marek Parulski

Nieznosna lekkość ponowoczesnego niebytu

Czego znajdziemy więcej w określeniu "postkultura", gdy stosuje je filozof pokroju Alaina Finkielkrauta? Jednego więcej pustego postterminu najnowszej ponowoczesności, pozwalającego nam jeszcze mówić w epoce "nie mającej nic do powiedzenia"? Nowych zasobów mocy interpretacyjnej wbrew ogłoszonej "śmierci myślenia i interpretacji"? Upokarzającej w swej bezradności roli filozofii sprowadzonej do towarologicznej resztkom procesu trawienia kultury? Żalostnego statusu diagnozy, która zastąpiła dawne poczucie

tragizmu, należącego już dzisiaj do komedii? Czy może szczytowego pojęcia naszego fin de siecle'u, obdarowującego nas nie tylko naszym własnym kresem z ludzką twarzą, bądź lepiej byłoby powiedziane - karnawałową maską, lecz również ideą założycielską nowej "umowy społecznej"? Odwoływanie się przez autora "Porażki myślenia" do Herderowskiego, romantycznego modelu "gospodarowania antropologiczną wadą fabryczną człowieka", zakładającego nie tylko konieczność kultury jako niezbędnej protezy, ale w jej ra-

na nowo sparametryzować i zagospodarować przestrzeń socjologiczną. To kolejny eufemizm, czy unowocześnienie dawnej figury? Stare formuły polityczne przybierające pansocjologiczne akcenty, czy rzeczywiście nowa "fizyka" "władzy"? Sloterdijk w każdym razie dobrze wie, że o wiele donioślejszy niż podmiot jest w filozofii jej tryb. Gdyby było inaczej, nie dokonałby swojego podziału na filozofię zaangażowaną społecznie i aspołeczną. Jako nietzscheanista niewątpliwie musiał dotrzeć w te rejony nietzscheańskiej eksploracji, które nigdy w pełni nie poddadzą się społecznej utylizacji. Otrzymujemy kuriozalne w przypadku ucznia Nietzschego, z gruntu antynietzscheańskie propozycje. "Chcę jednocześnie nowoczesności i szczęścia". "Obrzydzenie samym sobą - gdy już zbyt dobrze się siebie poznało - to przywilej wszystkich cywilizacji wysokorozwiniętych, które w języku niemieckim określamy terminem <Hochkultur>". Obie formuły (druga na zasadzie negacji prawomocności kwantyfikatora ogólnego) prowadzi nas w objęcia konserwatyzmu, chcemy tego czy nie. Zwykły mechanizm obronny przed hipertrofią epoki przezroczyści, którą proklamuje każdorazowo jakaś "Hochkultur". Jak nieuważnym filozofem trzeba być, by nie dostrzec w kategorii szczęścia nieodłącznego wszystkim dobrze nam znanym historyzoficznym figurom zaplecza ideologicznego. Co by nie powiedzieć, to, co nazywamy zwykle Historią, nie byłoby możliwe bez idei szczęścia. Szczęście i Historia, jaką znamy, to na poziomie pojęciowym synonimy. Sloterdijk musi zdawać sobie z tego sprawę konstatując: "Pragnę tego, co niemożliwe". W rzeczy samej, nowoczesność musiała wraz z Historią pozbyć się jej filozoficznego, i nie tylko, uzasadnienia. Ciekawy przypadek antynowoczesnie nastawionego nowoczesnego filozofa. Jakaż niekonsekwencja autora arcydzielnie cynicznej myśli, iż epoka metafizyczna poprzez zaprogramowanie nieskończoności psychiki przygotowała grunt pod antropologię współczesną opartą na nieskończoności zmysłów. Trening religijny przed epoką konsumpcji. Sloterdijk najwyraźniej wymaga jeszcze ręki mistrza, który pomógłby mu w uświadomieniu sobie rodzaju talentu jakim dysponuje oraz domeny filozoficznej, gdzie będzie się on spełniał.

O ile idea szczęścia pozwalała zawsze ludzkości spokojniej

popępiać i inscenizować własne zbrodnie oraz lepiej je znosić, o tyle jej awersja do samoobrzydzenia ma nam pozwolić spojrzeć przychylniejszym okiem na wszystkie te ludzkie instytucje, którym zbyt pochopnie przypisalibyśmy demoniczny, agresywny i arbitralny charakter. Z błędów tych ma nas wyprowadzić resentyment. Sloterdijkowi on się przydarza na zasadzie pojedynczych odruchów, ale nie na poziomie idei. Francuz swój przyobleka w tezy filozoficzne, wspierając je czarodziejskim dotknięciem diagnozy. Całe zło lokuje w podstawowych miejscach i kategoriach ponowoczesności oraz wszystkim tym, co do niej prowadziło. Reprezentuje zatem rodzaj ponowoczesnej reakcji na ponowoczesność, dość rozpowszechniony i typowy. Jej schemat formalny wyglądałby następująco: cały segment kultury odpowiedzialny za to, co określamy niewinnym słówkiem - rozwój, obejmujący okres powiedzmy od Renesansu aż do dziś, doprowadził do aktualnego stanu rzeczy. Ponieważ przyszłość jako idea jest dziś niemożliwa, remedium na chorą terażniejszość znajduje się (przynajmniej w sensie formalnym) w tych starych dobrych rozwiązaniach przeszłości, które okazały się jakoby odporne na wpływy i zmiany. Przeszłość to w ogóle chyba jedyna rzecz, jaką posiadamy, niedoceniona lub zaprzepaszczone przez ponowoczesne oświecenie. W szale relatywizmu kulturowego i szpiegowania władzy w najbardziej niewinnych i abstrakcyjnych rejonach zgłajszachtowało ono czas, system zaangażowania, sferę społeczną. Francuz jest w posiadaniu skutecznego przepisu na ich odrodzenie. W tym celu uprawia historię kultury w przeciwnym kierunku.

Samoobrzydzenie cywilizacji zachodniej Sloterdijka, zastosowane oczywiście wybiórczo (sam Sloterdijk zresztą nie może zbyt długo patrzeć tej zasadzie w oczy bez zmruczenia powiek), przyjmuje tutaj formę Finkielkrauta "przeciwne go kierunku". Również w sensie aksjologicznym. Szczęście zaś definiuje właściwy model kultury. U Finkielkrauta wszystkim elementom "pozytywnym" jego programu odpowiada jak "alter"-ego wybrane "ponowoczesne obrzydliwości". Metodologię proponuje ta filozofia rozbrajająco prościutką: aby zapewnić kulturze wysokie loty, a właściwie ponownie uprawiać ją w ruch, wystarczy odbijać się w odpowiednich miejscach od ponowoczesnego dna. Czarno

na białym widać całą złożoność resentymetu - nie wprawia ona w oszołomienie. Fundament tego myślowego przedsięwzięcia, Herderowska antropologia, powstał po przemyśleniu konstytucji człowieka Zachodu, któremu "brakuje braku". Został mu odjęty wraz z metafizyką i naturą. Po przywróceniu go człowiek nie tylko odzyska wszystkie swoje wymiary, ale także swoją niekompletność wraz z niezbędnymi kompensacjami. System powstanie z martwych. Sztuka, płęć, wiedza, państwo, historia i Bóg pośpieszą nam z pomocą, by dookreślić, dopełnić naszą polityczność. Obronić przed pokusą hybris, postnowoczesną "afirmacją nieograniczonej plastyczności ludzi i rzeczy". Uzasadnić przy okazji swoją ponowną intronizację, po odzyskaniu terenu metafizycznej i biologicznej nędzy homo sapiens. Za jednym zamachem filozof obala niebezpieczną, ale i bezpodstawnie postawioną tezę o synchronii dyskursów: religijnego, metafizycznego, ontologicznego, psychologicznego i politycznego. Sugestia ich zmywy i współpracy doprowadziła do zapasów społeczną dynamis. Wszelka energia i ruch zanikają bez dualistyczno-wertykalnej struktury. Ponowoczesne Oświecenie (w przeciwieństwie do pierwszego Oświecenia, zachowującego coś ze substancjalności dawnych, "objętościowych" modeli) to całkowita entropia będąca nie do pogodzenia z samą ideą społeczeństwa. Nie istnieje ani postprzestrzeń, ani posttożsamość. Nie istnieje zatem żadna racjonalność jako stosunek dystansu do wszystkich elementów i form świata. W każdym razie nie da się w oparciu o taki stosunek renegocjować umowy społecznej, zdaje się arbitralnie twierdzić francuski intelektualista. Powrót do mythosu i thymosu (pierwiastek ciemny, pozaracjonalny) wydaje się nieunikniony. Thymiczny z natury Byt lepiej pełni rolę nieskończoności. Zamieniliśmy ją nieopatrznie na nieskończoność procedury. W sytuacji ciągłego wzajemnego dekodowania swoich postępowań i praktyk przez różne społeczne podmioty, w procesualnej nieskończoności krytyki i samokrytyki, nie jest do pomyślenia jakakolwiek komunikacja społeczna. Przewaga jednostki nad systemem jest nie do przyjęcia, ponieważ obala zasadę rzeczywistości i świat jako uniwersalną mediację. Kulturę "ja" należy z powrotem wtłoczyć w kulturę "my",

kulturę właściwą i skuteczną społecznie. "Podmiotowość od początku wpisana jest w świat, społeczność, rozleglejsze od niej społeczeństwo". Finkielkraut bez zająknięcia się nadaje swoim tezom kosmologicznym i politycznym rangę uniwersalnej Prawdy. Nie chce nawet słyszeć o ontologicznym apriori, tym dzwonku alarmowym, w który wyposażyla się z wieku na wiek rosnąca ostrożność filozofii. Czyż to nie my, dzieci XX wieku nauczyliśmy się rozpoznawać prześwietlające przez "świat" "my", wraz z jego praktyką szantażu ontologiczną stawką? Odwołując się do Kundery, potępia Kartezjański podmiot i Cervantesowską wieloznaczność, pomysły założycielskie tych dwóch protoplastów nowoczesności. Szczególnie wywrotowa, wywracająca strukturę społeczną jest według niego wieloznaczność w wydaniu postmodernistycznym (ogłośczone z tajemnicą, obecne jeszcze u Cervantesa), zamrażająca psychologię, rujnująca społeczne toposy. Czyżby Finkielkraut był zwolennikiem thymosu sprawdzonych kanonicznych jednoznaczności, opowiadał się za ich praxis?

W ramach swego generalnego stosunku do nowoczesności filozof obraża się na nauki społeczne takie jak: historia społeczna, socjologia, demografia, nauki ekonomiczne, psychologia. Chyba dlatego, że w wydaniu nowoczesnym wybiły się na metanauki. A to za sprawą włączenia w zakres penetracji "sposobów życia" również kultur jako takich, którym, jak się domyślamy, powinna być zagwarantowana nietykalność poznawcza. Sama nauka to część pewnej kultury, a więc pewnego "sposobu życia" pewnej populacji. Ten drenażowo-kolista, zwrotny i samoznaszący się model poznawczy niepokoi filozofa, ale nie ze względu na konkurencyjność nauk socjologicznych wobec filozofii, preraża go groźny proces niwelacji podprzestrzeni i przekrojów społecznych, ich upunktowanie. Efektem zrozumienia kultury jako kultury, nauki jako nauki, literatury jako literatury, obyczajów jako obyczajów, moralności jako moralności, wiedzy jako wiedzy, życia jako sposobu życia wreszcie jest demontaż całej przestrzeni, jej systemów orientacji, włącznie z zasadą perspektywy. Wszelkie zapisane w niej relacje stają się odwracalne, bieguny i wymiary zlewają się w holograficzną plazmę. Przy czym nie chodzi tutaj oczywiście o przestrzeń fizyczną, choć sama fizyka jako język podlega temu

procesowi. Socjologia wraz ze swoją metaformułą “sposobów życia” ucieleśnia zatem dla Finkielkrauta nowoczesne oświecenie i nowoczesne spustoszenie kulturowej przestrzeni zarazem. Poprzez własną nieograniczoną samopoznawalność i samowijalność system sam siebie wymazuje. Jak w pryzmacie mamy oto dylemat ponowoczesności. No właśnie, czy to w ogóle jest dylemat? Czy Finkielkraut uprawia tylko teatr logicznego i filozoficznego absurdu (samo pojęcie społeczeństwa wydaje się być dla niego groźne, gdyż zawiera w sobie pierwiastek rezonersko-dekonstruujący), czy podsuwa nam jednak poważną aporię naszej kultury, która zabrnęła w ślepią uliczkę. Jeśli zachodzi to pierwsze, to wyraża tylko własne ograniczenia - nie potrafi so-

bie wyobrazić innych systemów społecznych opartych na innych zasadach. Jeśli jednak to drugie, to mamy problem. Prawdziwe aporie są nierozwiązywalne. Teoretycznie. Niestety są one rozwiązywalne praktycznie. Arbitralnie, mówiąc inaczej. Słowo, którego tak Finkielkraut nienawidzi, gdy odnoszone jest do kultury. A rozwiązania praktyczne, o których tutaj mowa przybiorą przecież jakąś skonkretyzowaną jej postać. Co wielu przyjmie z niesmakiem i lękiem. Co by o niej złego nie powiedzieć - postkultura oznacza dla nich ponowoczesną formę wolności. W końcu możemy czuć się uwolnieni nie tylko od “czapy społecznej”, ale nawet zrelatywizować jednostkowość jako retorykę systemu. Czy rzeczywiście w miejscu “romantycznego” nie da się

podstawić czysto pragmatycznego fundamentu pod “nową umowę społeczną”? Nie wszystkim jednak odpowiada nieznośna lekkość ponowoczesnego “niebytu”. Zapytajmy się w takim razie samych siebie uczciwie: czy rzeczywiście nasza epoka nie miała żadnych podstaw, by dokonać tak gruntownej inwentaryzacji wszystkich identyczności, całej tej schedy związanej z erą Bytu oraz erą społeczną? Zasada społeczna zawsze miała dwie twarze: ludzką i nieludzką. Modelowe zbrodnie ludzkości nie brały się z jej zawieszania, były we wszystkich przypadkach emanacją i kwintesencją tego, co społeczne. Również zbrodnie o czysto społecznym charakterze. Proceder wykluczenia, internowania czy kastracji w sferze psychiki są tego świetnym przykładem. Śmierć historii, psy-

chologii, sfery społecznej, to nie wynik tendencji samobójczych “kultury śmierci”, lecz bolesne przewartościowanie wszystkich wartości. W tym i społecznych rzecz jasna. Oto aporie stojące naprzeciw poprzednich. Francuski filozof w ogóle nie podejmuje ich w swojej refleksji. Zburzyłyby delikatną tkanę jego filozoficznej metody.

Marek Parulski

OŚRODEK KULTURY OCHOTY

Podczas weekendu 13 i 14 maja 2006 w Warszawie zorganizowany zostanie projekt: Autobus Prozaiczny // PROSAischer Bus, mający na celu promowanie literatury niemieckiej wśród mieszkańców Warszawy. Projekt jest organizowany przez Ośrodek Kultury Ochoty i GFPS Stowarzyszenie Naukowe i Kulturalne w Europie Środkowej i Wschodniej.

Literatura niemiecka prezentowana będzie w interaktywny sposób w specjalnie oznakowanych miejscach Warszawy, które razem stworzą „literacki szlak” miasta. Do owego „szlaku” należeć będą przystanki, na których grupy teatralne wystawią przygotowane przez siebie performance; oraz kawiarnie i kluby, gdzie w miłej, bezpośredniej atmosferze odbędą się spotkania i dyskusje z młodymi literatami niemieckimi. Swoje utwory zaprezentuje m.in. Bas Böttcher i Tanja Dücker. Miłośnicy literatury na pewno wykorzystają tę okazję do dyskusji z twórcami współczesnej prozy europejskiej na temat jej najnowszych trendów. Pomiędzy przystankami i kawiarniami jeździł będzie autobus Prozaiczny, w którym grupy teatralne odegrają literackie przedstawienia angażując pasażerów do wspólnej zabawy.

Projekt adresowany jest do licealistów zainteresowanych literaturą, studentów szczególnie z kierunków humanistycznych typu: germanistyka, polonistyka, kulturoznawstwo, tłumacze, literatów i krytyków a także do wszystkich mieszkańców Warszawy, którzy otrzymają szansę poznania literatury naszego zachodniego sąsiada w niecodzienny i oryginalny sposób. Uwieńczeniem każdego dnia spotkań będą wieczorne polsko – niemieckie słamy.

Warto nadmienić, iż projekt ten został wyróżniony przez Ministerstwo Spraw Zagranicznych Republiki Federalnej Niemiec w konkursie na projekty bilateralne Roku Polsko – Niemieckiego 2005/2006.

Partnerem projektu jest:

LCB (Literarisches Colloquium Berlin).

Patronat nad imprezą obejmuje:

BIZ WARSCHAU (Centrum Informacji o Książce Niemieckiej).

Aneta Mamcarz

E-mail: aneta-mamcarz@tlen.pl

Tel: 502280105

Ośrodek Kultury Ochoty
ul. Grójecka 75 02-094 Warszawa • tel./fax (22) 822 48 70 • www.oko.com.pl